

ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT

ZBROJNI



ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT  
ZBROJNI

Przełożył  
Piotr W. Cholewa



Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału  
**MEN AT ARMS**

Copyright © Terry and Lyn Pratchett 1993  
First published by Victor Gollancz Ltd, London  
All rights reserved

Projekt graficzny serii  
**Z**ombie **S**putnik **C**orporation

Ilustracja na okładce  
© Josh Kirby/via Thomas Schlück GmbH

Redakcja  
Łucja Grudzińska

Redakcja techniczna  
Małgorzata Kozub

Korekta  
Bronisława Dziedzic-Wesołowska

Łamanie  
Liwia Drubkowska

ISBN 978-83-7648-142-5

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Druk i oprawa  
Drukarnia Naukowo-Techniczna  
Oddział Polskiej Agencji Prasowej  
03-828 Warszawa, ul. Mińska 65

## Tego samego autora polecamy:

KOLOR MAGII	ZADZIWIAJĄCY MAURZYCY I JEGO
★	UCZONE SZCZURY
BLASK FANTASTYCZNY	★
★	NA GLINIANYCH NOGACH
RÓWNOUMAGICZNIENIE	★
★	WIEDŹMIKOŁAJ
MORT	★
★	WOLNI CIUTLUDZIE
CZARODZICIELSTWO	★
★	BOGOWIE, HONOR,
ERYK	ANKH-MORPORK
★	★
TRZY WIEDŹMY	OSTATNI KONTYNET
★	★
PIRAMIDY	CARPE JUGULUM
★	★
STRAŻ! STRAŻ!	PIĄTY ELEFANT
★	★
RUCHOME OBRAZKI	PRAWDA
★	★
NAUKA ŚWIATA DYSKU I i II	ZŁODZIEJ CZASU
★	★
KOSIARZ	ZIMISTRZ
★	★
WYPRAWA CZAROWNIC	STRAŻ NOCNA
★	★
POMNIEJSZE BÓSTWA	POTWORNY REGIMENT
★	★
PANOWIE I DAMY	PIEKŁO POCZTOWE
★	★
ZBROJNI	ŁUPS!
★	★
MUZYKA DUSZY	ŚWIAT FINANSJERY
★	★
CIEKAWY CZASY	HUMOR I MĄDROŚĆ
★	ŚWIATA DYSKU
MASKARADA	★
★	NIEWIDOCZNI AKADEMICY
OSTATNI BOHATER	★
★	





**K**apral Marchewa ze Straży Miejskiej Ankh-Morpork (nocna zmiana) usiadł w koszuli nocnej przy blacie, wziął ołówek, posesał koniec i zaczął pisać:

*Kochana Mamo i Tato,  
Zdarzył się kolejny piękny przypadek do zanotowania, gdyż zostałem, Kapralem! To znaczy dodatkowe pięć dolarów miesięcznie plus mam też nową kurtkę z, dwoma paskami. I nową odznakę. To wielka odpowiedzialność. A wszystko z powodu tego, żeśmy przyjęli nowych rektów, bo Patrycjusz który, jak wcześniej powiadałem, jest władcą, zgodził się, że Straż musi odbijać etniczne odcienie Miasta...*

Marchewa przerwał na chwilę. Spojrzał przez niewielkie, zakurzone okno swego pokoiku na zachodzące słońce nad rzeką. Potem znów schylił się nad kartką.

*...czego w pełni nie pojąłem, ale ma to chyba coś wspólnego z kosmetykami z fabryki krasnoluda Grabpota Gromowego Decha. Także, kapi-*

*tan Vimes, o którym często wam pisałem niedługo, opuszcza Straż bo się żeni i będzie Eleganckim Dżentelmenem. My, wszyscy życzymy mu jak najlepiej. To on nauczył mnie Wszystkiego Co Wiem, poza tym, czego sam się nauczyłem. Zrobiliśmy składkę żeby mu, kupić Prezent Pożegnalny, myślałem o jednym z tych nowych Zegarków, co to nie potrzebują demonów do chodzenia i moglibyśmy wyryc na nim coś w rodzaju „Na pamiątkę wszystkich szczęśliwych Godzin w Straży”, to taki żart, bo zegarek odmierza godziny. Nie wiemy kto, będzie nowym kapitanem. Sierżant Colon mówi, że odejdzie, jakby na niego padło, kapral Nobbs...*

Marchewa znów wyjrzał przez okno. Jego szerokie, szczere czoło zmarszczyło się, gdy szukał czegoś dobrego, co mógłby napisać o kapralu Nobbsie.

*...chyba najlepiej się czuje na Obecnym Stanowisku, a ja jestem w Straży za krótko. Musimy więc zaczekać...*



Zaczęło się, jak wiele spraw, od śmierci. I pogrzebu wiosennym rankiem, z mgłą nad gruntem tak gęstą, że wlewała się do grobu, więc trumnę opuszczono w chmurę.

Nieduży szary kundel, siedlisko tylu psich chorób, że otaczały go obłokiem kurzu, z kopczyka ziemi obojętnie przyglądał się ceremonii.

Rozmaite krewne szlochwały, jednak Edward d'Eath nie płakał – z trzech powodów. Był najstarszym synem, trzydziestym siódmym lordem d'Eath, a d'Eathowie nie płaczą. Był – od niedawna, dyplom zachował jeszcze sztywność – skrytobójcą, a skrytobójcy nie płaczą przy śmierci, inaczej nigdy by nie przestawali. I po trzecie, był zły. Właściwie nawet był wściekły.

Wściekły, że musiał pożyczyć pieniądze na ten nędzny pogrzeb. Wściekły na pogodę, na ten nędzny cmentarz, na fakt, że gwar miasta nie zmienił się choćby o ton, nawet przy takiej okazji. Wściekły na historię. Nie tak to miało wyglądać.

Nie tak to powinno wyglądać.

Spojrzał za rzekę, na posępną bryłę pałacu patrycjusza, a jego gniew podkręcił się jeszcze i zogniskował.

Edwarda posłano do szkoły Gildii Skrytobójców, ponieważ była to najlepsza edukacja dla tych, których status społeczny jest nieco wyższy od inteligencji. Gdyby szkolił się na błazna\*, wymyśliłby satyrę i powtarzał niebezpieczne dowcipy o patrycjuszu. Gdyby został złodziejem, zakradłby się do pałacu i ukradł patrycjuszowi coś bardzo cennego.

Jednakże... posłano go do skrytobójców...

Tego popołudnia sprzedał wszystko, co pozostało z majątku d'Eathów, i raz jeszcze zapisał się do szkoły gildii. Na kurs poddyplomowy.

Dostał najwyższe oceny, co przydarzyło się po raz pierwszy w historii gildii. Nauczyciele opisywali go jako człowieka, którego należy pilnie obserwować. A ponieważ miał w sobie coś, co nawet w skrytobójcach budziło niepokój – obserwować raczej ze sporej odległości.



Na cmentarzu samotny grabarz zasypał dół, który był miejscem ostatniego spoczynku d'Eatha seniora. I nagle zdał sobie sprawę z czegoś, co uznał za myśli we własnej głowie. Mówiły coś takiego:

Będzie szansa na kawałek kości? Nie, przepraszam, to było w złym guście, zapomnij, że o tym wspomniałem. Ale masz kanapki z bekonem w swoim, jak mu tam, tym pudełku na kanapki czy co. Dlaczego by nie dać jednej temu miłemu pieskowi?

Grabarz oparł się na łopacie i rozejrzał uważnie.

Szary kundel obserwował go czujnie.

– Hau – powiedział.



Edward d'Eath poświęcił pięć miesięcy na znalezienie tego, czego szukał. Co było tym trudniejsze, że naprawdę nie wiedział, czego szuka. Tyle tylko że kiedy znajdzie, natychmiast się dowie. Edward głęboko wierzył w Przeznaczenie. Tacy ludzie często wierzą.

\* Oczywiście, żaden dżentelmen nawet by nie pomyślał o zostaniu błaznem.

Biblioteka Gildii Skrytobójców należała do największych w mieście. W pewnych szczególnych, specjalistycznych dziedzinach wręcz była największa. Te dziedziny dotyczyły zwykle nieszczęsnej ulotności ludzkiego życia oraz środków jej wywołania.

Edward spędzał dużo czasu wśród regałów, często na szczycie drabiny, często w obłoku kurzu.

Przeczytał wszystkie znane teksty o uzbrojeniu. Nie wiedział, czego szuka, ale znalazł to w notce na marginesie nudnej poza tym i bardzo niedokładnej pracy na temat balistyki kuszy. Skopiował wszystko starannie.

Dużo czasu poświęcił też na książki historyczne. Gildia Skrytobójców była towarzystwem dżentelmenów z dobrych rodzin, a tacy ludzie często traktują całą spisaną historię jak listę inwentarza. Biblioteka Gildii posiadała mnóstwo takich książek, a także całą galerię portretów królów i królowych\*. Edward d'Eath poznał ich arystokratyczne twarze lepiej niż własną – w galerii spędzał przerwy na drugie śniadanie.

Mówiono potem, że na tym właśnie etapie znalazł się pod złym wpływem. Ale tajemnica historii Edwarda d'Eatha polega na tym, że nie ulegał żadnym zewnętrznym wpływom, chyba że policzyć wszystkich tych martwych królów. Po prostu znalazł się pod własnym wpływem.

Tego ludzie zwykle nie rozumieją. Pojedyncze osobniki nie są w naturalny sposób etatowymi członkami ludzkiej rasy – najwyżej biologicznie. Muszą być popychani dookoła przez brownowskie ruchy społeczeństwa, będącego mechanizmem, dzięki któremu istoty ludzkie cały czas przypominają sobie nawzajem, że są... no... istotami ludzkimi. D'Eath także krążył po spirali – w głąb, co często się zdarza w takich przypadkach.

Nie miał żadnego planu. Wycofał się tylko – jak ludzie, którzy czują, że są atakowani – na pozycję łatwiejszą do obrony, to znaczy w przeszłość. A potem wydarzyło się coś, co podziałało na niego tak, jak na badacza dawnych gadów podziałałoby odkrycie plejzozaura w sadzawce ze złotymi rybkami.

\* Często z dyskretnymi tabliczkami u dołu, skromnie rejestrującymi dla potomności imię osoby, która ich zabiła. W końcu była to galeria portretów należąca do Gildii Skrytobójców.

Pewnego upalnego popołudnia, mrużąc oczy, wyszedł na dwór po całym dniu spędzonym w towarzystwie minionej chwały. I nagle zobaczył twarz przeszłości, idącej niespiesznie i przyjaźnie kiwającą głową do przechodniów.

Edward nie potrafił się opanować.

– Hej, ty! – zawołał. – Kim j-esteś?

– Kapral Marchewa – odpowiedziała przeszłość. – Nocna straż.

Pan d'Eath, prawda? Mogę w czymś pomóc?

– Co? Nie! Nie. Masz p-ewnie ważne sprawy.

Przeszłość skinęła głową, uśmiechnęła się i poszła dalej, w przyszłość.



Marchewa przestał wpatrywać się w ścianę.

*Wydałem trzy dolary na ikonograf który, jest takim pudełkiem ze skratem w środku co maluje obrazki różnych rzeczy, to straszny szal ostatnio. Dołączam obrazki mojego pokoju i moich przyjaciół ze Straży. Nobby to ten, co robi Zabawny Gest, ale to Nieoszlifowany Diament i w głębi serca dobra dusza.*

Znów przerwał. Pisywał do domu co najmniej raz w tygodniu – krasnoludy zwykle tak robią. Marchewa miał dwa metry wzrostu, ale został wychowany jako krasnolud, a dopiero potem jako człowiek. Wyczyny literackie nie przychodziły mu łatwo, jednak się nie poddawał.

Pisał bardzo powoli i bardzo starannie:

*Pogoda wciąż jest Niezwykle Upalna...*



Edward nie mógł uwierzyć. Sprawdził zapisy. Potem sprawdził jeszcze raz. Zadawał pytania, a ponieważ były to pytania w zasadzie niewinne, ludzie udzielali mu odpowiedzi. W końcu pojechał na wycieczkę w Ramtopy, a tam ostrożne śledztwo doprowadziło go do kopalni krasnoludów pod Miedzianką, a następnie na niczym się niewyróżniającej polankę w bukowym le-

sie, gdzie – rzeczywiście – kilka minut cierpliwego kopania pozwoliło mu odkryć ślady zwęglonego drewna.

Spędził tam cały dzień. Kiedy skończył o zachodzie słońca, starym rannie zasypał miejsce próchnem. Wreszcie zyskał pewność.

Ankh-Morpork znowu miało króla.

A on, Edward, miał Rację. To *los* pozwolił mu odkryć ten fakt *akurat* w chwili, kiedy miał już Plan. I *szuszenie* uważał, że to *Przeznaczenie* i że miasto zostanie *Zbawione* z niegodnej terażniejszości przez swą *chwalebłą* przeszłość. Miał *Środki* i miał *Cel*. I tak dalej.

Myśli Edwarda często biegle były takimi drogami.

Potrafił myśleć *kursywą*. Takich ludzi trzeba obserwować uważnie.

Najlepiej z bezpiecznej odległości.



*Zainteresował mnie wasz list, gdzie piszecie że, przyjeżdżali ludzie i pytali o mnie to zadziwiające, jestem tu ledwie Parę Minut, a już zdobyłem Stawę.*

*Bardzo się ucieszyłem, że otworzyliście sztolnię 7. Muszę Wam przyznać, że choć jestem tu bardzo szczęśliwy, tęsknię za Domem. Czasami, kiedy mam Wolne, schodzę i, siadam w piwnicy i, biję się po głowie trzonkiem topora, ale to Nie To Samo.*

*Mam nadzieję, że cieszyacie się dobrym zdrowiem. Uściski*

*Wasz kochający syn (adoptowany)*

*Marchewa*

Złożył list, wsunął do środka ikonografie, zapieczętował kulką świecowego wosku wciśniętą na miejsce kciukiem, po czym schował list do kieszeni. Krasnoludzia poczta do Ramtopów działała w miarę pewnie. Coraz więcej krasnoludów szukało pracy w mieście, a ponieważ są to osobniki bardzo odpowiedzialne, wielu z nich posyłało pieniądze do domu. Dzięki temu przesyłki były bardzo pewne, gdyż silnie strzeżone. Krasnoludy są bardzo przywiązane do złota. Każdy zbójca, wysuwający żądanie „pieniądze albo życie”, powinien się zaopatrzyć w składane krzeselko, kanapki i książkę do czytania, by jakoś przeczekać dyskusję.

Marchewa obmył twarz, wciągnął skórzaną koszulę, spodnie i kolczugę, zapiał półpancerz, wzięł hełm pod pachę i wyszedł na uli-

cę – z uśmiechem, gotów na spotkanie wszystkiego, co mogła mu nieść przyszłość.



To był już inny pokój, w innym miejscu.

Był trochę ciasny, tynk na ścianach osypywał się nieco, a sufit osiadał niczym dolna strona łóżka jakiegoś grubasa. Wrażenie ciasnoty powiększały jeszcze meble.

Były to solidne stare meble, tyle że znalazły się w nieodpowiednim dla siebie miejscu. Powinny stać w rozległych salach, gdzie echo odbija się od ścian. Tutaj wydawały się stłoczone. Były tu ciemne dębowe krzesła. Były szerokie kredensy. Była nawet zbroja. Za to właściwie nie było miejsca dla siedzących przy stole kilku ludzi. Nawet na stół właściwie nie było miejsca.

Zegar tykał cicho w mroku.

Okna przesłaniały ciężkie, aksamitne zasłony, choć do zachodu słońca pozostało jeszcze sporo czasu. Było gorąco, zarówno od upału, jak od świec w latarni magicznej.

Jedynе światło rzucał ekran, który w tej chwili ukazywał bardzo dobry profil kaprala Marchewy Żelaznywładssona.

Nieliczna, starannie dobrana publiczność przyglądała mu się ostrożnie, zachowując przy tym obojętny wyraz twarzy ludzi, którzy są niemal pewni, że ich gospodarz jest odrobinę niespełna rozumu. Godzą się z tym jednak, ponieważ właśnie zjedli posiłek i niegrzecznie byłoby wychodzić zbyt szybko.

– I co? – odezwał się jeden z gości. – Widziałem go chyba, jak spaceruje po mieście. Co z tego? To zwykły strażnik, Edwardzie.

– Oczywiście. Ważne, żeby nim był. Niska pozycja w życiu. Wszystko p-asuje do klasycznego wzorca. – Edward d'Eath dał znak. Pstryknęło i kolejna szklana płytka wsunęła się na miejsce. – To nie jest żywy model. Król Paragore, stary p-ortret. – A ten... – pstryk! – to król Veltrick III. Z innego p-ortretu. To jest królowa Alguinna IV... Zwróćcie uwagę na linię podbródka. Tu mamy... – pstryk! – siedmiop-ensową monetę z czasów p-anowania króla Webblethorpe'a Nieprzytomnego, p-roszę znowu przyjrzeć się szczegółom p-odbródka i ogólnej strukturze kości. Tutaj... – pstryk! – odwrócony obrazek wazonu z kwiatami. Ostróżki, jak sądzę. Skąd się wzięły?

– Ehm... Przepraszam, panie Edwardzie. Zostało parę szklanych płytek, a demony nie były zmęczone, więc...

– Poproszę następny obraz. A potem możesz nas zostawić.

– Tak, panie Edwardzie.

– Zgłosisz się do dyżurnego oprawcy.

– Tak, panie Edwardzie.

Pstryk!

– Tu widzimy całkiem udany... dobra robota, Blenkin... obraz popiersia królowej Coanny.

– Dziękuję, panie Edwardzie.

– Gdybyśmy jednak widzieli większą część jej twarzy, z pewnością dostrzeżlibyśmy p-odobieństwo. Wystarczy jednak i to. Możesz odejść, Blenkin.

– Tak, panie Edwardzie.

– Może trochę przystrzyc przy uszach, jak sądzę.

– Tak, panie Edwardzie.

Sługa z szacunkiem zamknął za sobą drzwi. Ruszył do kuchni, kręcąc ze smutkiem głową. Już od lat d'Eathowie nie mogli sobie pozwolić na rodzinnego oprawcę. Dla dobra chłopca będzie musiał spróbować jakoś sobie poradzić nożem kuchennym.

Goście czekali, aż gospodarz się odezwie, ale chyba nie zamierzał. Co prawda z Edwardem czasem trudno było się zorientować. Kiedy był podniecony, nie tyle się jękał, ile raczej mówił z nieregularnymi pauzami, jakby mózg na moment wyłączał usta.

Wreszcie głos zabrał jeden z widzów.

– Doskonale – rzekł. – W jaki celu nam to pokazałeś?

– Sami widzieliście podobieństwo. Czy to nie oczywiste?

– Och, daj spokój...

Edward d'Eath przysunął do siebie zawiniątko ze skóry i zaczął rozwiązywać tasemki.

– Ale... Chłopiec był adoptowany przez krasnoludy. Znaleźli go jako niemowlę w puszczy w górach, w Ramtopach. Były tam płożące p-owozy, trupy i takie rzeczy. Najwyraźniej atak bandytów. Krasnoludy znalazły wśród szczątków miecz. Nosi go teraz. Bardzo stary miecz. I zawsze jest ostry.

– Co z tego? Świat pełen jest starych mieczy. I oselek.

– Ten miecz był bardzo dobrze ukryty w jednym z powozów, który się rozpadł. Dziwne. Należałoby się raczej spodziewać, że ze-

chcą go mieć pod ręką, prawda? Żeby go używać, prawda? Tam gdzie grasują bandyci. A potem chłopiec dorasta i... Los... sprawa, że wraz z mieczem trafia do Ankh-Morpork, gdzie zostaje strażnikiem w nocnej straży. Nie mogłem w to uwierzyć!

– To przecież żaden...

Edward uniósł dłoń, po czym wyjął z zawiniątka jakiś niewielki przedmiot.

– Przeprowadziłem staranne śledztwo, rozumiecie, i udało mi się znaleźć miejsce, gdzie nastąpił atak. Dokładne przeszukanie gruntu ujawniło parę starych gwoździ z powozów, kilka miedzianych monet, a w bryle zwęglonego drewna... to.

Wyciągnęli szyje.

– Wygląda na obrączkę.

– Tak. Oczywiście, p-owierzchnia jest odbarwiona, inaczej ktoś by zauważył. Pewnie była schowana gdzieś w powozie. Kazałem ją trochę oczyścić, więc można przeczytać inskrypcję. Natomiast tutaj mamy ilustrowany spis klejnotów koronnych Ankh, wykonany w roku 907 AM, za panowania Tyrrila. Jeśli wolno, p-ozwolę sobie zwrócić waszą uwagę na tę niewielką ślubną obrączkę w lewym dolnym rogu stronicy. Jak zauważycie, artysta up-rzejmie zapisał inskrypcję.

Minęło kilka minut, zanim wszyscy obejrzeni obrączkę i rysunek. Byli ludźmi z natury podejrzliwymi. Byli potomkami ludzi, dla których podejrzliwość i paranoja stanowiły zasadnicze cechy umożliwiające przetrwanie.

A to dlatego, że wszyscy należeli do arystokracji. Nie znalazłby się wśród nich nikt, kto by nie znał imienia swego praprapradziadka i nazwy wstydlivej choroby, na którą umarł.

Niedawno spożyli nie najlepszy posiłek, który jednak zawierał liczne stare i godne uwagi wina. Przybyli na spotkanie, ponieważ wszyscy znali ojca Edwarda, a d'Eathowie byli wspaniałym rodem, choć obecnie w dość trudnej sytuacji.

– Widzicie zatem – rzekł z dumą Edward – że dowody nie pozostawiają miejsca na wątpliwości. Mamy króla!

Goście starali się unikać patrzenia sobie nawzajem w oczy.

– Myślałem, że się ucieszycie...

Wreszcie lord Rust wyraził wspólną opinię. W jego lodowatych, błękitnych oczach nie było miejsca na litość, która nie stanowiła ce-

chy ułatwiającej przetrwanie. Czasem jednak mógł zaryzykować odrobinę łagodności.

– Edwardzie – powiedział. – Ostatni król Ankh-Morpork zginął setki lat temu.

– Ścięty p-rzez zdrajców!

– Nawet gdyby udało się znaleźć potomka, królewska krew nie-co by się przez ten czas rozcieńczyła, nie sądzisz?

– Królewskiej krwi nie da się r-ozcieńczyć!

No tak, pomyślał lord Rust. Więc to taki typ... Młody Edward wierzy pewnie, że dotknięcie króla może uleczyć skrofuty, jakby królewska krew była odpowiednikiem maści siarkowej. Młody Edward uważa, że nie istnieje jezioro krwi zbyt głębokie, by nie warto było przez nie przebrnąć w celu osadzenia na tronie prawowitego króla, że nie ma czynu zbyt haniebnego w obronie korony. Właściwie to romantyk.

Lord Rust nie był romantykiem. Rustowie dobrze się przystosowali do postmonarchicznych stuleci w Ankh-Morpork, kupując, sprzedając, wynajmując, szukając kontaktów i robiąc to, czym zawsze zajmowali się arystokraci: refowaniem żagli i trwaniem.

– Cóż, możliwe – zgodził się łagodnym tonem człowieka, który próbuje namówić samobójcę do zejścia z parapetu. – Musimy jednak zadać sobie pytanie, czy Ankh-Morpork w obecnym momencie potrzebuje króla.

Edward popatrzył na niego jak na wariata.

– Potrzebuje? Czy potrzebuje? Przecież nasze wsp-aniale miasto usycha pod butem tyrana!

– Aha... Masz na myśli Vetinariego.

– Czy nie widzicie, co zrobił z Ankh-Morpork?

– To rzeczywiście bardzo nieprzyjemny człowiek, nuworysz – przyznała lady Selachii. – Ale trudno mu zarzucić, żeby realnie kogokolwiek terroryzował. W każdym razie nie bardzo. Nie w ścisłym sensie.

– Musisz mu to przyznać – dodał wicehrabia Skater. – Miasto funkcjonuje, tak? Mniej więcej. Pospólstwo i kto tam jeszcze pracuje.

– Ulice są bezpieczniejsze niż za czasów Snapcase'a Psycho-neurotycznego – zauważyła lady Selachii.

– Bezp-ieczniejsze? Vetinari powołał Gildię Złodziei! – krzyknął Edward.

– Tak, tak, naturalnie, bardzo naganna decyzja, nie ma wątpliwości. Z drugiej strony, skromna roczna opłata pozwala spacerować bezpiecznie...

– Zawsze powtarza – wtrącił lord Rust – że jeśli musi już występować przestępczość, niech to przynajmniej będzie przestępczość zorganizowana.

– Mam wrażenie – odezwał się wicehrabia Skater – że ludzie z gildii tolerują go, bo ktokolwiek inny byłby gorszy, tak? Mielśmy przecież kilka naprawdę... trudnych przypadków. Ktoś jeszcze pamięta Winderera Morderczego?

– Harmoniego Szalonego?

– Scapule Wesołego? Człowieka o bardzo ostrym dowcipie?

– Za to Vetinari... to coś niezupełnie... – zaczął lord Rust.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – wtrącił wicehrabia Skater. – Nie podoba mi się, że on zawsze wie, co myślisz, zanim jeszcze zdążysz o tym pomyśleć.

– Wszyscy wiedzą, że skrytobójcy wyznaczili za niego honorarium w wysokości miliona dolarów – przypomniała lady Selachii. – Tyle by kosztowało jego zabicie.

– Prześladowuje mnie myśl – dodał lord Rust – że o wiele więcej kosztowałoby dopilnowanie, by pozostał zabity.

– Na bogów! Co się stało z dumą? Co się stało z honorem?

Wszyscy wyraźnie drgnęli, gdy ostatni lord d'Eath poderwał się na równe nogi.

– Spróbujcie sami siebie posłuchać! Spójrzcie na siebie! Czy jest tu choć jeden człowiek, który nie patrzył na poniżenie swego rodu od czasu królów? Nie pamiętacie już czynów swych przodków?

Edward zaczął krążyć wokół stołu. Musieli odwracać głowy, by go obserwować.

Wyciągnął rękę.

– Pan, lordzie Rust! Pański przodek został mianowany baronem, kiedy samotnie, uzbrojony jedynie w szpilkę, wybił oddział trzydziestu siedmiu Klatchian. Czy tak?

– Tak, ale...

– Pan... lordzie Monflathers! Pierwszy diuk poprowadził sześćuset ludzi do chwalebnej i bohaterskiej klęski w bitwie pod Quirrem! Czy to już nic nie znaczy? Pan, lordzie Venturi, i pan, sir George... Siedzicie w Ankh, w swoich starych rezydencjach, pod

starymi nazwiskami, na starych pieniądzech, podczas gdy gildie... Gildie! Bandy mętów i sklepikarzy... Gildie, powiadam, zabierają głos w sp-rawach miasta!

W dwóch krokach znalazł się obok półki i rzucił na stół potężny, oprawny w skórę tom, potrącając nim kieliszek lorda Rusta.

– *Herbarz* Niemóźgię! – krzyknął. – Wszyscy mamy w nim swoje stronicę! Należy do nas! Ale ten człowiek chyba was zahipnotyzował! Zap-ewniam was, że zbudowany jest z krwi i kości, że jest śmiertelny! Nikt nie śmie go usunąć, bo obawia się, że sytuacja ułoży się wtedy trochę gorzej! Na bogów!

Goście słuchali ponuro. Miał rację, oczywiście... jeśli tak to ująć. I ocena wcale nie brzmiała lepiej, wygłaszana przez tego wzburzonego, patetycznego młodzieńca.

– Tak, tak. Dobrze, stare czasy. Iglice rosnące w niebo, proporce, rycerskość i takie tam – rzekł wicehrabia Skater. – Damy w spiczastych kapeluszach. Chłopcy w zbrojach, walący się czym popadnie. I tak dalej. Ale wiesz przecież, że trzeba iść z duchem czasu...

– To był złoty wiek.

O bogowie, pomyślał lord Rust. On naprawdę w to wierzy.

– Widzisz, mój chłopcze... – Lady Selachii spróbowała uspokoić Edwarda. – Kilka przypadkowych podobieństw i skromny element biżuterii nie dają jeszcze mocnych podstaw, prawda?

– Niania mi opowiadała – wtrącił wicehrabia Skater – że prawdziwy król potrafi wydobyć miecz z kamienia.

– Tak, tak. I wyleczyć łupież – mruknął lord Rust. – To tylko legenda. Nie naprawdę. Nawiasem mówiąc, ta opowieść zawsze mnie dziwiła. Niby co jest takiego skomplikowanego w wyciągnięciu miecza z kamienia? Największa trudność została już pokonana. Jeśli ktoś chce się do czegoś przydać, powinien najpierw poszukać tego miłego człowieka, który wbił miecz w kamień, prawda?

Zabrzmiały pełne ulgi śmiechy. Tyle Edward zapamiętał. Wszystko skończyło się śmiechem. Nie z niego, być może, ale należał do ludzi, którzy śmiech przyjmują bardzo personalnie.

Dziesięć minut później dziedzic rodu d'Eathów został sam.

Byli tacy uprzejmi... Iść z duchem czasu! Oczekiwał od nich czegoś więcej. O wiele więcej. Miał wręcz nadzieję, że porwie ich za sobą. Wyobrażał sobie, że dowodzi armią...